

Rok szkolny po zmianie

8 września 2016

Pierwszy rok nowego kierownictwa MEN niestety okazał się czasem regresu. I to regresu w nieoczekiwanym wymiarze – pod względem reformowania polskiej szkoły w prospołecznym duchu. Trend reform uległ zahamowaniu, a w niektórych kwestiach wręcz cofnięciu.

Niebawem nowy rok szkolny. Pierwszy po nadejściu „dobrej zmiany”, która objęła także system oświaty. Ba, edukacja odgrywa – jak chyba u niemal każdej władzy, która pragnie gruntownie przebudować zastaną rzeczywistość – poczesną rolę. Co prawda większość przed- i powyborczych zapowiedzi czeka dopiero na realizację, jednak pierwsze decyzje już zapadły. Można z grubsza powiedzieć, że pierwsza faza oświatowej (kontr)rewolucji dotyczy bardziej samej struktury organizacyjnej systemu kształcenia niż jego treści. Cofnięcie „reformy sześciolatek”, decyzja o likwidacji gimnazjów, zmiany w uprawnieniach kuratorów, likwidacja dotychczasowych zasad godzin karcianych itp. to bilans pierwszego roku urzędowania Anny Zalewskiej w MEN. Widać, że w większości zmiany te polegają na odwracaniu tego, co robiły poprzednie rządy (sześciolatki, godziny karciane, gimnazja). Zresztą krokom tym towarzyszyła wypowiedziana publicznie (np. podczas tzw. sejmowego audytu) diagnoza o fatalnym stanie oświaty, jaki zastano po poprzednikach.

Tymczasem sprawa wydaje się bardziej złożona. Z jednej strony, nie okiełznano wielu negatywnych tendencji, z drugiej – wprowadzono w drugiej kadencji rządów PO-PSL szereg postępowych reform, czyniących polską oświatę znacznie bardziej odpowiedzialną społecznie i obejmującą grupy w trudniejszej sytuacji. Trudno powiedzieć, jaki obraz otrzymamy pod koniec obecnej kadencji, jednak pierwszy rok wypada pod tym względem niestety dość niekorzystnie. Proponowane i podjęte działania nie prowadzą do rozwiązania palących

problemów edukacyjno-społecznych, z którymi nie poradzili sobie poprzednicy, a mogą je wręcz pogłębić. Z drugiej zaś strony, wyhamowaniu uległ proces „prospołecznego” reformowania oświaty, jakie miało miejsce za czasów Szumilas i zwłaszcza Kluzik-Rostkowskiej.

Niewątpliwie rządowi PO-PSL nie udało się zmierzyć z wieloma problemami oświatowej rzeczywistości. Ostatnie lata to także czas likwidacji – za sprawą niżu demograficznego – placówek szkolnych, zwłaszcza na obszarach peryferyjnych. Sieć szkolna jest dziś mniej gęsta na prowincji, co również przyniosło szereg ubocznych niepożądanych skutków dla uczniów wiejskich (zwłaszcza tych ubogich i z niepełnosprawnością), jak i dla lokalnych społeczności. Zdaje się, że władza nie umiała skutecznie odpowiedzieć na te procesy. Nie poradzono sobie też z problemem prywatyzowania szkolnych stołówek i zastępowania ich cateringiem. Wiele do życzenia pozostawia funkcjonowanie szkolnych świetlic (o czym przekonuje raport NSZZ „Solidarność”), segregacje między- i wewnątrzszkolne na różnych szczeblach kształcenia, przemoc wśród uczniów i psychospołeczne problemy wielu z nich. Gdyby w tym miejscu postawić kropkę, tendencyjna diagnoza Anny Zalewskiej nie kłułaby aż tak w oczy. To jednak obraz dalece niepełny. Pomyślność polskiej oświaty, która powinna być reformowana w oparciu o rzetelną, a nie tendencyjną diagnozę, wymaga wspomnienia także o działaniach pozytywnych, i to zwłaszcza z perspektywy najsłabszych. Wymienię cztery z nich, które wydają mi się szczególnie godne odnotowania.

Po pierwsze, wprowadzono darmowe podręczniki, poczynając od bezpłatnego elementarza w pierwszym roku reformy, a stopniowo objęto tą regułą uczniów kolejnych klas, do etapu gimnazjalnego włącznie (proces ten miał się domknąć w 2017 r.). Ta zmiana jest chyba jednak najbardziej rewolucyjna ze społecznego punktu widzenia. Odtąd finansowa odpowiedzialność za zakup podręczników spoczywa nie na rodzicach, lecz na państwie, które dystrybuuje książki do szkół. Zmiana ta dotyka

wszystkich i tworzy nowy standard, ale najbardziej bezpośrednio korzyści niesie uczniom niezamożnym i ich rodzicom, dla których kilkusetzłotowy koszt wrześniowej wyprawki stanowił nie lada obciążenie, źródło wyrzeczeń i stresów. Ten rok może być pod tym względem łagodniejszy także dzięki wprowadzonemu już przez nowy rząd Prawa i Sprawiedliwości programowi 500+. Wracając jednak do programu darmowych podręczników, o jego dokładnym działaniu można dyskutować – np. czy nie lepiej, aby państwo jedynie finansowało, ale nie produkowało podręcznika, i dawało pedagogom i/lub rodzicom pewne pole wyboru, a wydawnictwom rynek zbytu? Zastrzeżenia może też budzić fakt, że docelowo program nie ma objąć uczniów szkół ponadgimnazjalnych, choć ich opiekunowie wydają nie mniej, a nieraz i więcej na materiały szkolne. O tym warto dyskutować, ale nie zmienia to faktu, że z prospołecznego punktu widzenia zrobiono duży krok w słusznym kierunku. Jest duża szansa, że obecna władza – nawet gdyby zlikwidowano gimnazja – tego mechanizmu nie odrzuci, a co najwyżej go nieco zmodyfikuje.

Po drugie – kwestia sześciolatków i przedszkolaków. Sprawy te traktowałbym łącznie, bowiem jedna poniekąd warunkuje drugą. Pójście wcześniej do szkół nieco starszych maluchów tworzy rezerwy miejsc dla młodszych (3-, 4-, 5-latków) w dotychczasowych placówkach przedszkolnych, których na skutek lat zaniedbań nie jest w Polsce wystarczająco wiele, aczkolwiek ostatnia dekada przyniosła radykalną poprawę – dostęp do nich wzrósł o kilkadziesiąt punktów procentowych. Do tego dodajmy zasadę „godzina za złotówkę”, wedle której pewne czasowe minimum (5 godzin dziennie pobytu w placówce) ma być gwarantowane, a za każdą kolejną godzinę trzeba płacić z własnej kieszeni – ale właśnie symboliczną złotówkę. Ta zmiana również ma znaczenie, zwłaszcza dla dzieci o niższym statusie społeczno-ekonomicznym. Dzięki możliwości znalezienia się w bezpłatnym lub niskopłatnym przedszkolu pojawia się możliwość ograniczenia deficytów wrodzonych lub wyniesionych z domu i przyspieszenia procesów rozwojowych – a tym samym wyrównanie

szans. Dla części matek będzie to oznaczało także możliwość podjęcia pracy. Ważny jest również wymiar integracyjny publiczny placówek, w których mogłyby się zetknąć dzieci o różnym statusie – choć w ostatnich latach prężnie rozwija się segment przedszkoli prywatnych z wyszukaną i nierzadko drogą ofertą. Część klasy średniej kieruje swoje dzieci właśnie tam, co sprzyja segregacji. Dlatego ważny jest możliwie jak najszerszy dostęp do publicznej opieki przedszkolnej dobrej jakości, tak by przynajmniej część klasy średniej zatrzymać przy placówkach organizowanych przez gminy. Choć ostatnie lata przyniosły postęp, do powszechności daleko, a najbliższy rok może przynieść pogorszenie. Znow widzimy, jak ważna okazała się reforma „sześciolatek”. Gdy nowa ministra, Anna Zalewska, krótko po objęciu urzędu i bez szerszych konsultacji cofnęła reformę poprzedników, nie tylko zwiększył się poziom chaosu, jeśli chodzi o warunki opieki/edukacji dzieci 6- i 7-letnich, ale także pojawiły się trudności w zapewnieniu miejsc w placówkach dzieciom młodszym, 3- i 4-letnim. Tym bardziej, że dotacja na przedszkolaka jest w przeliczeniu na ucznia znacznie niższa od subwencji oświatowej.

Po trzecie – zdrowa żywność w szkolnych sklepikach i stołówkach. To również przełom. Państwo daje sygnał, że nie jest mu obojętne, z jakich produktów żywnościowych korzystają uczniowie, a ci w mniejszym stopniu zalewani są ofertą śmieciowego jedzenia. Krok ten nabiera znaczenia tym większego, że mamy wśród młodzieży epidemię zagrożeń zdrowotnych, których niewłaściwa dieta jest ważnym – choć bynajmniej niejedynym – czynnikiem sprawczym. Polskie dzieci tyją najszybciej w Europie, a problemy z uzębieniem są wśród nich powszechne. Oczywiście należy pamiętać, że to nie tylko wysokocukrowa dieta, lecz także ograniczony dostęp do opieki stomatologicznej, jej rynkowo cena (i wycena przez NFZ) oraz częstość z niej korzystania sprawiają, że problemy z próchnicą są tak powszechne wśród nastolatków. Należy również pamiętać, że otyłość ma źródło nie tylko w zbyt dużej ilości śmieciowego jedzenia, ale także w siedzącym trybie życia i niewielkiej

aktywności fizycznej. Dlatego mierzyć się z tymi problemami, kosztownymi społecznie i ekonomicznie, należy szerzej. Nawet w obrębie czynnika żywieniowego ważna jest nie tylko oferta szkolnych sklepików czy stołowego jadłospisu, ale także uświadomienie dzieci i rodziców w zakresie zdrowych nawyków i płynących z nich korzyści. Sam dobór produktów dopuszczonych do sprzedaży również przyczynia się do wyborów dokonywanych przez dzieci. To także sygnał, że państwo obejmuje ten obszar publiczną troską. Ważne jest jednak, by „nie przedobrzyć”. Przyjęte w zeszłym roku przepisy mogły być jednak zbyt wyśrubowane i po latach wolnej amerykanki jawiły się jako zbyt znaczne ograniczenie, budzące opór rodziców i dzieci. Wydaje się, że bardziej zasadne byłoby tu podejście gradualne, polegające na stopniowym eliminowaniu szczególnie niezdrowych produktów i zastępowaniu ich smacznymi, ale i zdrowszymi, oraz próba wyważenia między walorami zdrowotnymi a smakowymi. Konkretyzacją tego rodzaju dylematów jest aktualny spór o drożdżówkę. Być może, zamiast całkowitego ich wyeliminowania ze szkolnej sprzedaży, sensowniejsze jest zadbanie o ich dopuszczalny skład odżywczy (nad czym właśnie trwają prace) oraz równoczesna eliminacja ze sklepików znacznie bardziej niezdrowych produktów oraz rozszerzenie i uatrakcyjnienie asortymentu owocowo-warzywnego. Takie kompromisowe podejście widać w nastawieniu rządzonego przez Konstantego Radziwiłła Resortu Zdrowia, w którego gestii leży piecza nad standardami żywienia w szkołach. Można więc mieć nadzieję, że program zdrowej żywności nie będzie wycofany – mimo że politycy rządzącej formacji, w tym obecna szefowa MEN, nie szczędzili swego czasu gorzkich słów pod jego adresem – a jedynie rozsądnie modyfikowany.

Po czwarte, jeśli już jesteśmy przy temacie zdrowia uczniów, poprzedni rok przyniósł zmiany w zasadach uczęszczania na zajęcia WF. Wprowadzono dwie rzeczy: regułę, że przy ocenianiu liczy się aktywność, obecność, a nie wyniki w sporcie, a także ograniczenie możliwości uzyskiwania zwolnień lekarskich z ćwiczeń na zajęciach wychowania fizycznego. Kroki te mogły

przyczynić się do tego, by udział w zajęciach sportowych był bardziej włączający, także dla tych, którzy dotąd z różnych powodów byli mniej aktywni. Jak czytamy w „Gazecie Wyborczej”: „Problem zwolnień z WF-u nie jest wydumany. Jeszcze w 2009 r. w polskich podstawówkach miało je tylko 7,5 uczniów, teraz – ponad 19 proc. W tym samym czasie w gimnazjach ten odsetek wzrósł z 19 do 23 proc., a w szkołach ponadgimnazjalnych – z 24 do 36 proc.” Zmiany w tym zakresie to również sprawa pierwszej wagi. Współczesne trendy cywilizacyjne sprzyjają siedzącemu trybowi życia i to nie tylko w czasie nauki/pracy, ale także podczas wypoczynku. Zaszczepienie w dzieciach ruchowej aktywności może choć trochę kompensować godziny spędzone przed komputerem. Dostępne dane są alarmujące i pokazują, że młodzież cierpi na wady postawy i ograniczenia sprawności znacznie bardziej w porównaniu z poprzednimi pokoleniami, gdy te były w podobnym wieku. Jak czytamy w „Gazecie Wyborczej”: „ponad 80 procent dzieci ma albo płaskostopie, albo koślawe kolana, albo krzywy kręgosłup. A ich kondycja fizyczna jest coraz gorsza – dzisiejszy 15-latek biega 1000 m o 15s dłużej niż jego rówieśnik w 1989 r.”

Suma wszystkich wspomnianych kroków sprawia, że społeczna odpowiedzialność systemu oświaty wzrosła. Zapewne nie są one wystarczające. Ponadto dla rozwoju dzieci ważne jest nie tylko to, co dzieje się w murach szkolnych i za pośrednictwem tejże instytucji, ale także okoliczności pozaszkolne. Tym niemniej, szkoła ma za zadanie te warunki współkształtować, a także kompensować ich ograniczenia. Jeśli wsłuchamy się w narrację obecnej władzy, zobaczymy, że kuleje społeczny wymiar myślenia o edukacji. Widać to także po pierwszych przeprowadzonych i zapowiadanych ruchach. Cofnięcie „reformy sześciolatków” niesie wiele problemów, np. zmniejszenie szans na znalezienie miejsca w przedszkolu dla trzylatków. Likwidacja godzin karcianych może ograniczyć części uczniów dostęp do zajęć pozalekcyjnych. Plan likwidacji gimnazjów również nie niesie realnej obietnicy wyrównywania szans, natomiast stan przejściowości i zagrożenia zwolnieniami nauczycieli nie

tworzy dobrego klimatu dla efektywnej pracy z uczniem, zwłaszcza tym z trudnościami. Mając to na uwadze, z obawami spoglądam na tory, na które weszła polityka edukacyjna po ostatnim przesileniu politycznym. Nadaktywność w przewracaniu do góry nogami instytucjonalnych ram polityki oświatowej, a w dalszej kolejności także programu (zwłaszcza jeśli chodzi o przedmioty humanistyczne), może sprawić, że z pola widzenia znikną potrzeby i problemy uczniów w trudnej sytuacji. Warto, byśmy wyciągnęli naukę i przemyśleli to, zanim zadzwoni szkolny dzwonek. Oby był to dzwonek budzący do otwarcia się na realne wyzwania społeczne stojące przed polską szkołą, a także na rozsądne modyfikowanie dokonań poprzedników i podjęcie na nowo problemów, z którymi sobie nie poradzili.

Autorstwo: Rafał Bakalarczyk

Źródło: NowyObywatel.pl